ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Kwietnia N^er 16. Roku 1842.

KORSYKANKA.

Mimo sąsiedztwa Włoch..... Włoch! tego kraju romantycznych przygód i częstych miłostek, zachowali mieszkańcy Korsyki prostotę i czystość piérwotnych obyczajów. Wszystkie czyny tych dumnych wyspiarzy, nosiły piętno namiętności, któremi tylko dzikie, niesforne duchy się powodują. Przyjaźń była u nich najświętszym obowiązkiem; miłość, to uczucie, które ducha wznosi i uszlachetnia, przeszła w boską cześć dla kobiet. Ale téż pod żadną strefą nieba nie było tak zaciętéj nienawiści, jak w tym narodzie. Jeźli w Korsyce aż do szaleństwa kochano, to i nienawiść była równie silna. Z tąd owe przykłady największych poświęceń obok najokropniejszéj zemsty.

W roku 1799 w małym domku na przedmieściu miasta Ajaccio, mieszkało dwie ubogich kobiét. Chociaż spokrewnione z bardzo znakomitą rodziną tego kraju, przecież musiały na utrzymanie po całych dniach i nocach pracować. Matka przędła, córka wyszywała i haftowała różne roboty dla majętnych pań w tém mieście.

Maryja była w istocie bardzo powabną. Jéj ciemne oczy były jak błyskawice, a długie kędziory włosów spadały na ramiona i osłaniały zgrabnie jéj szyję. Kibić miała tak smukłą, jak młoda topola. Wszystkie wdzięki, któremi malarz przyozdabia utwór swéj fantazyi, połączyła w sobie młoda Korsykanka. Właśnie zaczęła dziewiętnasty rok życia; była w samém kwiecie młodocianéj piękności.

Nie raz, gdy szła do kościoła, czatował na nią genueński kupiec lub wesoły oficer, aby się napoić widokiem téj przecudnéj piękności, i odetchnąć tém samém powietrzem, ktore otaczało niewinną dziéwicę. Nie jeden z licznych czcicieli byłby Maryję za jeden uśmiéch obdarzył bogactwem; ale ona była nieczułą na wszelkie oświadczenia; od dawna oddała serce ubogiemu, lecz na całéj wyspie najpiękniejszemu rybakowi, imieniem Colazzo.

Co wieczór o zachodzie słońca, młoda dziéwczyna wychodziła z miasta na brzég morski. Tam siadała na pagórku, a wodząc okiem po mroku wieczornym, szukała w dali jakiegoś przedmiotu. Czasem, aby przytłumić niepokój serca, zanuciła piosnkę. — Była to Maryja.

Wkrótce jéj ucha dochodziły silne uderzenia wiosłem, — a fale, zręczną trącane ręką, odbijały się z szumem o brzég piaszczysty. Łódź płynąca wzdłuż nadbrzeża, szybko zbliżała się do skały, przybiła do brzegu, dzielny rybak wyskoczył na ląd, i u nóg dziéwicy składał swe siécie; — to był Colazzo.

Potém kochankowie śród miłosnéj rozmowy, wracali do miasta, szczęśliwi, że się widzieli, że jeszcze raz zapewnili się o wzajemnéj miłości, mającéj trwać wiecznie.

O, w ubóstwie jakże łatwo o szczęście! można go nabyć za małą cenę.

Już od półtora roku żyli tylko dla siebie; gdy raz w wieczór młoda Korsykanka klęcząc na brzegu morza, napróżno wyglądała przybycia rybaka; zwykła godzina powrotu dawno minęła, a łodzi jeszcze widać nie było.

I gdzież przyczyna tego opóźnienia?... Wszak niebo pogodne; łagodny wietrzyk ledwie porusza fale morskie, niebezpieczeństwa nié ma na wodzie.

. Już była noc ciemna; Maryja wreszcie postanowiła wrócić do matki, słabéj od dni kilku. Matka już była zasnęła, jednostajny, łagodny oddech zapowiadał sen spokojny.

Téj chwili nie opuściła dziéwczyna; zarzuciła na ramię gliniane naczynie, i zostawiając drzwi na wpół otwarte, poszła do studni po wodę. Może spodziéwała się w drodze napotkać rybaka.

Ledwie wyszła za próg domu, gdy młody oficer nadbiega, i lekkomyślnym, natrętnym głosem, jaki najczęściéj przybiérają wojskowi, zaczyna do niéj mówić.

Maryja nie przelękła się, jak zwykle młode dziéwczęta czynią w podobnym razie; na jéj licu widać było szlachetną dumę. Nie obejrzawszy się nawet, postępowała daléj.

»I cóż piękna dziéwczyno«, mówił oficer, »porzuć tę srogość; twoje oczy narobiły wiele zniszczenia w mojéj biédnéj głowie, całe Ajaccio wié o tém. Powiédz mi, co mam czynić, abym mógł zmiękczyć twoje kamienne serce?...«

Maryja w milczeniu spieszyła prosto do studni.

»Czyli żadnego słowa się nie dopytam? i okiem nie rzucisz na mnie? Mamże z twéj dumy wnosić, iż porucznik Lavareille wydaje ci się nie dość znakomitym na twego czciciela? Co się tego dotyczy«, dodał pokręcając wąsik, »za nadto przebiérasz, jam dotąd nie dostał kosza od żadnéj piękności włoskiéj.«

Tymczasem Maryja stanęła u studni. Naczynie postawiła na ziemi i czekała, nim się napełni.

Lavareille był ciągle przy dziéwczynie. Nie szczędził oświadczeń i grzeczności, które zawsze miał na pogotowiu. Z rozkoszą wpatrywał się w piękną płeć, któraby i w salonach paryzkich wzbudziła podziwienie.

Maryja milczała ciągle.

»Dajże się zmiękczyć sroga dziéwczyno, a wszystko dobrze pójdzie. Widzisz, jak nie wymagającym jestem, jeden całus mnie zadowolni.«

To mówiąc, wyciągnął Lavareille ramię, jakby do objęcia dziéwczyny. Maryja szybko odskoczyła, ręką sięgnęła za gorset, a w słoniowa kość oprawny sztylet błysnął w jéj ręku. Okiem zmierzyła oficera i przybrawszy groźną postawę, wzięła go na cel. »Panie Francuzie! jeźli o krok postąpisz, zginiesz!«

»O moja piękna! jesteś za prędka«, zawołał porucznik, który nie spodziéwał się takiéj odwagi — »jutro może będziesz innéj myśli — przynajmniéj ja tak mniemam.«

A gdy Maryja stała niewzruszona, dodał:

»Prawdziwie! powabna Amazonka! a jak jéj przystoi ta bohatérska postawa! Tymczasem«, z uśmiechem mówił daléj, »schowaj to bawidełko, ono jest nie na swojém miejscu. Żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi, a ja spodziéwając się, iż się z czasem inaczéj namyślisz, przyjmę teraz zamiast odmówionego mi całusa, tę relikwiję, która w pośpiechu, gdyś sięgała do zanadrza, wysunęła ci się na ziemię.«

To mówiąc porucznik, schylił się po różaniec, który u stóp jego leżał. W téj chwili straszliwy głos zagrzmiał nad jego uchem.

»*Per sangue*«, zawołano.

Gdy się podniósł Lavareille, ujrzał przed sobą mężczyznę, z którego czarnych oczu pioruny na niego leciały; mężczyzna ten odziany w grubą szatę rybaka, głosem rozkazującym żądał od niego zwrotu różańca.

»Któż ty jesteś?... Czego chcesz?...« zapytał oficer śmiałego obrońcę Maryi.

»Nazywam się Colazzo«, odpowiedział. »O pięć kroków z tąd ukryłem się za drzewem, będąc na pogotowiu, przeszyć ciebie sztyletem, gdybyś się poważył dotknąć ręki téj dziéwczyny, która jest moją narzeczoną. Oddaj mi różaniec!«

»Ach! otóż to jest cała tajemnica, to przyczyna twego dumnego postępowania, moja sroga dziéwczyno. Ja się spóźniłem, a przedemną kto inny miejsce zajął. Wprawdzie jestto wielkiém nieszczęściem dla mnie, ale znowu nie takiém, któremuby zaradzić nie można. Powiém ci śmiało Colazzo, ja kocham twoją narzeczonę, kocham ją dla jéj dumy i odwagi, a ty miéj się na baczności, bo we mnie masz rywala.

»Podły!« krzyknął Colazzo, ze złości zgrzytnąwszy zębami. »Zwróć mi różaniec, jeźli nie.....«

»Jeźli nie?...« powtórzył Lavareille, biorąc się pod boki.

»Jeźli nie, toś zgubiony«, odpowiedział rybak i natarł na oficera.

Lavareille, szybko jak błyskawica odskoczył na trzy kroki. Wyciągnął szpadę, i jéj ostrze wymierzył na Colazza.

Krwawa wszczęła się walka. Porucznik z napiętą szpadą szydząc z płonnych usiłowań rybaka, powiększał jego zapamiętałość. Korsykanin rzucał się w lewo i w prawo, szukając sposobnéj chwili, aby obalić przeciwnika; ale pierś jego spotykała wszędzie ostrze szpady. W tém rzuca się dziéwczyna na tego, o którego życie drżała, ramionami obejmuje kochanka i z całéj siły pociąga go za sobą.

»Schowaj ten rożaniec«, odezwał się Colazzo do porucznika, zanim się oddalił — »noś go zawsze przy sobie, przy śmierci pomodlisz się na nim!«

Przed domem Maryi rozłączyli się kochankowie. Dziéwczyna zbliżyła się do łóżka matki; słaba jeszcze spała. Maryja miała jeszcze dość czasu do uspokojenia się, do ukrycia bolesnych uczuć, które nią miotały. Od tego dnia Colazzo stał się ponurym i milczącym; on już nie śpiéwał rozwieszając siécie na brzegu, nawet pieszczone słowa narzeczonéj nie wracały mu dawnego pokoju duszy, dawnéj wesołości umysłu: Colazzo był Korsykaninem, zazdrość zażegła uczucia jego. — Nie mógł się pozbyć myśli, iż kto inny posiada przedmiot, który spoczywał na sercu Maryi; a myśl ta ciężyła mu boleśnie.

Młoda dziéwczyna bardzo rzadko oddalała się z domu. Coraz słabsza matka potrzebywała wiele staranności. Narzeczona rybaka musiała się wyrzéc przechadzki na brzég morski i oczekiwania tam kochanka.

Podczas gdy przy łożu matki czuwała, przychodził nieraz Colazzo, ale zawsze zadumany; w jego sercu wichrzyła burza, a niepokój zagnieździł się w jego myśli. Stronił od ludzi i szukał samotności. Często dla łowienia ryb, oddalał się na dni kilka od brzegu. Gdy czarne chmury zakryły niebo, on w skołatanéj łodzi chodził w zapasy z wściekłością żywiołów. Taka walka zmniejszała jego smutki, tylko burze pocieszać go mogły. Jeszcze częściéj widziano go, jak w płaszcz owinięty, przesuwał się pomiędzy mury Ajaccia. Mściwy Korsykanin po całych nocach ukrywał się w zakątku ulicy, a oko miał utkwione w oknach koszar.

Do podniecania jeszcze większéj nienawiści, nie mało Lavareille i teraz się przyczyniał.

Jako młody oficer, dumny i natrętny, w płochéj miłostce szukał środka na nudy, których doznawał. Zobaczył Maryję — była piękną, i natychmiast wybór padł na nią. Nawet ostatnia przygoda z Maryją, nie zachwiała jego przedsięwzięcia. — On nie stracił nadziei. Jako żołnierz, choć piérwszy atak się nie udał, czekał sposobniejszéj chwili. Dziéwczyna miała kochanka, zwycięztwo było nie łatwe, ale Korsykanka wydała mu się tém powabniejszą. Oficer nie zaprzestał ścigać ją miłosnémi spojrzeniami, a oświadczenia były coraz czulsze.

Matka Maryi zapadała coraz więcéj na zdrowiu. Gdy przeczuwała śmierć swoję, aby zapewnić przyszłość córki, pobłogosławiła narzeczonych. W kościele podczas ślubu, był i porucznik obecny. Po raz piérwszy uczuł trwogę w swéj duszy; szczęście rybaka bolało go, przyszła koléj i na niego — teraz on ciérpiał okropnie.

Chwilowa skłonność do Korsykanki zamieniła się w szaloną namiętność; przeszkody jeszcze więcéj ją podżegały. Dotychczas z miłości robił sobie zabawkę — teraz miłość pomściła się na nim. Porucznik kochał szczérze Maryję, i za wszystko złoto na ziemi, byłby nie oddał rożańca. Odważny i przedsiębierczy w budoarach pięknych Włoszek, tak śmiały i trzpiotowaty przy piérwszém spotkaniu się z Maryją u studni, teraz stał się lękliwym i posępnym. Gdy ujrzał okno jéj pomieszkania, zaraz uczuł mocne serca bicie, a gdy ją samą obaczył, natenczas drżał na całém ciele. Za jedno jéj spojrzenie byłby oddał dziesięć lat życia swojego.

Nadaremnie wzdychał do pięknéj małżonki. Ale i to coraz większą budziło zazdrość i mściwość w rybaku, który mu zaprzysiągł zgubę. Jeden człowiek zatruł na zawsze życie Colazza. Jednego było na ziemi za wiele. Zemsta leje balsam w umysł Korsykanina. Wszystkie dowody przywiązania, jakich codziennie doznawał od Maryi, nie zaspokajały jego duszy. On wierzył

w jéj cnotę, ale niegodziwe zamysły oficera poczytywał jéj za występek — ona była nieszczęśliwą, on także.

Jednego dnia, prędzéj jak zwykle, wrócił Colazzo do domu. Czoło miał wypogodzone, a w oczach odbijała się radość. Żona wybiegła naprzeciw.

»Czytaj«, powiedział, rozwijając gazetę, na któréj stał dzień 28. Floréal roku XII. (18. maja 1804).

Podczas gdy czytała dziennik — Colazzo mówił do siebie: »Napoleon Cesarzem! Co za zrządzenie nieba! jego matka jest z domu Ramolino; my możemy być bogatymi, tak, tak, popłyniemy do Francyi.«

Maryja wydała okrzyk radości, i padła w ramiona męża.

»Zbiérajmy się czémprędzéj do Francyi«. zawołała — ale potém wskazując ręką na śmiertelne łoże matki, dodała: »Nie, nie! my tu pozostaniemy.«

»Porzucimy Korsykę«, odpowiedział Colazzo — »ale piérwéj mam pewną sprawę zakończyć.«

I przybrał postawę groźną, głos jego był drżący, czoło się znowu zachmurzyło.

Na drugi dzień z-rana, Maryja blada i pogrążona w smutku zaléwała się łzami przy łożu matki. Wtém szybko otwarły się drzwi na oścież—i wpadł do izby—Colazzo w ręku trzymał rożaniec.

»Maryjo!« krzyknął — »z oficerem już się rozprawiłem, teraz najwyższy czas do podróży. Oto masz rożaniec; śmierć nienawistnego przywróciła mu dawną świętość. Teraz słuchaj, co powiém: Policyja mnie śledzi, za ćwierć godziny mogę wpaść w jéj ręce. Żono! nie opuszczaj twego męża. Moja łódź z tąd nie daleko. Dostaniemy się do Sardynii, a z tamtąd do Francyi, gdzie na nas szczęście czeka. Jeźli nie przystaniesz na to, ja tutaj, przed twojémi oczyma, dam się zamordować.«

Maryja przelękniona, zmieszana, rzucała błędne spojrzenia to na łoże matki, to na dzikie oblicze rybaka. Cóż ma uczynić? Tu matka walczy z blizką śmiercią, tam małżonek, który na rusztowaniu zginąć może. Miłość matki i miłość męża stanowiły jéj życie, zajmowały całe jéj serce, i jakże rozerwie je na dwoje?... Którejże miłości da piérwszeństwo?... Trwoga jéj duszy malowała się w oku — usta zaniemiały.

Colazzo rzucił się na ławkę, i zaczął nabijać pistolety. »Dobrze« — przemówił obojętnie — »oczekuję ich tutaj, lecz ja nie sam będę umiérał. Odmów ostatnią modlitwę..

Maryja pada do nóg Colazza, i ręką wskazuje śmiertelne łoże matki.

W téj chwili zapukano do drzwi. Konająca ostatni raz westchnęła. — Maryja straciła matkę!

Przyskoczyła do łoża, na zimném czole matki złożyła ostatni pocałunek. — Potém obróciła się do rybaka i uroczystym przemówiła głosem: »Uciekajmy. Teraz moje życie należy tylko do ciebie.«

Już było za późno, żołniérze policyi już byli drzwi wyparli. Ucieczka nie była podobna, bronienie się nadaremne.

Dziesięć luf było wymierzonych w Colazza, — on pociągnął żonę ku sobie, a puszczając namiętności wodze, odciągnął kurki u pistoletów. Padło dwa wystrzały.

We krwi zbroczeni, Maryja i Colazzo tarzali się po ziemi. Rybak wkrótce skonał; żona była tylko w ramię lekko ranna; gdy jéj niesiono pomoc, wymawiała słowa bez związku. Za słaba, aby znieść wrażenie téj okropnéj sceny, **straciła rozum.**

* * *

Porucznik Lavareille żył jeszcze, po długiéj chorobie wyzdrowiał. Wzruszony nieszczęściem Maryi, którą teraz jeszcze więcéj niż piérwéj kochał, odesłał ją do Francyi i polecił swojéj rodzinie.

Długie upłynęły lata. Maryja nie wróciła do rozumu. W Paryżu znalazła dwie kobiéty, które ją troskliwie pielęgnowały. U nich pędziła wdowa po rybaku choć nie w rozkoszach, ale spokojnie, resztę dni życia. Nie było nad nią niewinniejszéj waryjatki. W pomieszaniu zrywała tylko od róży pojedyncze listki i rozściélała je po łóżku. W jéj ustach były tylko dwa słowa: »Napoleon i Colazzo!«

Cesarstwo upadło, nastąpiła restauracyja. Śród tych epok nie zaszła żadna zmiana w życiu Maryi. Czas nie zmniejszył troskliwości, z jaką ją pielęgnowała rodzina, która ją do swego przyjęła grona.

Ale nie tu kres cierpień dla biédnéj obłąkanéj. Lavareille, który tymczasem postąpił był na majora, umarł w Morei; w ciągu dwóch lat po rewolucyi lipcowéj, matka i siostra poszły za nim w świat lepszy. Maryjanna w 42 latach, znajdowała si w obcym kraju, bez opiekuna, bez pom cy i bez przyjaciół. W chłodną noc grudniową straż nocna znalazła ją przy studni. — Od trzech dni była bez pożywienia. Na pytania, które jéj zadawano, odpowiadała dwoma imionami, które po utracie rozumu była zachowała w pamięci. — »Biédna!« rzekł sierzant, »oszalała z miłości do Napoleona.«

Nazajutrz przywiedziono ją do Salpétriere. Urzędnik, mający z obowiązku zapisywać nazwiska osób przyprowadzonych, wyskoczył z krzesła słysząc imię nieszczęśliwéj. Zapisano ją w dniu 27. sierpnia 1832. Maryjanna Ramolino, wdowa po Janie Chrzcicielu Colazzo urodzona w Ajaccio r. 1783. — Biédna obłąkana była siostrzenicą Letycyi, matki Cesarza Francuzów.

Kiedy więc Napoleon korony, dostojności i bogactwa rozdzielał między rodzinę swoje, blizka krewna żyła nieznana śród Paryża, utrzymywana przez litość obcéj ubogiéj rodziny. Dziwne losu igrzysko!

Pobyt na owczéj górze.

Na baranka bez ustanku,
Woła: baź, baź, mój baranku!

W Wiédniu z początkiem czerwca, jak zwykle po stołecznych miastach, ruch zimowy ustaje, a dwór cesarski już na letnie wyjechał mieszkanie, i goście zimowi i bogatszy Wiédeńczyk ciągną na letnią siedzibę, na świéże powietrze czy to do kąpiel, czy do wiejskich pałaców. Tylko włoskie opery zatrzymują jeszcze niektórych miłośników, ale i tu równie jak po innych teatrach, nie ma téj pełni, do któréj się oko zimową porą przyzwyczaiło. Wesoły *prater*, na próżno nęci pięknèm, zielonèm liściem, swych dostojnych gości, oni go w maju ucztą pożegnali, i aż z jesienią do niego powrócą.*)

O tym czasie na statkach parowych płynących ku miastu Linc, więcéj jak zwykle bywa podróżujących, bo Dunaj dumny urokiem swoich nadbrzeży, marzeniem kołysząc myśli, umié wędrowców w czarowne unosić kraje. W Lincu rozstają się podróżni, jedni płyną daléj ku Bawaryi, inni zaś jadą to do Salcburgii, to do Tyrolu, to jeszcze daléj do Włoch. — Należałem do ostatnich. Koleją konno-żelazną przybyłem do Gmunden, miasteczka leżącego nad niespokojném jeziorem Traun, z tąd popłynąłem statkiem parowym na drugi brzég jeziora do Ebensee, a z Ebensee dostałem się na osi do Ischl.

Miasto Ischl, jestto serce wesołéj i jak dziéwica uroczéj Salcburgii, gdzie w zdrowém powietrzu, zachwycających wycieczkach i w solnych źródłach, słabi zdrowie, a zdrowi wzmocnienie i najmilsze rozkosze znajdują.**) Nikt nie przejéżdża przez Ischl, aby się choć dni kilka nie zatrzymał.

Znajomości w kąpielach są nader łatwe i nawet nie od rzeczy, jeżeli się w ich zawarciu cokolwiek ostrożnym bywa. Czas obiadowy zapełnia się zwykle w kąpielach opowiadaniem o przygodach podróży, o przyjemnych wycieczkach, a w końcu zbiéra się towarzystwo znajomych do przechadzki lub przejazdki w przyległe okolice.

Zaraz dnia piérwszego po mojém przybyciu do Ischl, znalazłem wiele znajomych, już-to z Wiédnia, już ze statku, i tego samego dnia zaproszono mię do wycieczki na owczą górę.

Owcza góra (*Schafberg*), leży o małą milkę na zachodniéj północy od Ischl, nad wsią i jeziorem św. Wolfganga. Na południowym wschodzie ciągnie się pasmo gór styryjskich, a na południu i zachodzie tyrolskich. Od wschodu dźwiga swe kamienne czoło Ludwik XVI.**). i rzéka Traun wichrzy brzégami gór posępnych, a od północnego zachodu, gałęzi się bawarskie podgórze i niknie w dalekiéj dolinie. — Cały ten widokrąg odbija się w zielonych nurtach dziewiętnastu jezior.

Owcza góra liczy wedle powieści do 4,000 stóp wysokości. W większéj połowie pokryta lasem, daléj połoniną, a w końcu mchem i rozchodem płażącym się po ostrych skały zaściekach.

* * *

Ośmnastego lipca o trzeciéj po obiedzie ruszyliśmy w kilka powozów ku św. Wolfgang, wioski leżącéj u podnóża owczéj góry nad je-

*) Mówię to o przejazdkach praterowych w poniedziałek wielkanocny i w pierwszych dniach maja.

*) Kąpiele te solne połączone z urządzeniami do kuracyi żentycą. Doktor Wirrer, założył te kąpiele przed niewielą laty, przezco wiejskie chatki do miasteczka drugiego rzędu wzrosły. Mieszkańcy zawdzięczając swemu dobroczyńcy, wystawili na pięknéj ciosowéj podstawie jego popiersie i nazwali ogród publiczny, w którym ten pomnik stoi, ku wiecznéj pamiątce ogrodem Wirrera.

**) Nad jeziorem Traun w bok miasteczka Gmunden, wznosi się skała, nazwana *Traunstein*, a która jadąc od Lincu popiersie leżące Bourbonów przedstawia; nazywają przeto te skałę Ludwikiem XVI.

ziorem tegoż nazwiska*). Jest tu kościół nad samém jeziorém, opasany murem, a mur ten na tamę przeznaczony. Straszno z muru poglądać, bo w głowie się męci, i chociaż na dnie jeziora po lazurowém tle pogodnego nieba, szarawe skały, kwieciste wzgórza i rozkoszne drzewa, dziwno powabnie porozrzucane, bardzo silnie oko niewolą, tu jednak podróżni *ob saltum mortalem* nie bardzo na mury się spieszą.

Widać obyczaj jest jeden na świecie: kościół na pagórku, a karczma na dole, otóż i tutaj zaraz przy kościele karczma, a na godle *szymel*. W gospodzie uczciwość, uczynność: jest i tabakiera i różne powiastki, ale obyczaj to jeden na świecie, więc zapłać a słono, kiedyś był w gospodzie.

W czasie obiadu, przysposobiono nam wiktuały na wieczerzę i śniadanie, przyprowadzono przewodników, a po obiedzie dano kije alpejskie do rąk, i tak zebraliśmy się raźno i ruszyli na górę.**) Idąc, spoczywaliśmy trzykroć, i zasilali się nektarem źródeł, rozrzuconych gęstą wstęgą zielenistych strugów, i w dwóch godzinach doszliśmy większéj połowy góry. Tu na zielonéj polanie mieszkańce z włości poblizkich, urządzili skromnym obyczajem jedynaście chyż alpejskich***), których jedynym mieszkańcem od wczesnéj wiosny do późnéj jesieni, alpejska pastérka ze swoją ulubioną trzodą.

W tém miejscu zanocowaliśmy, to miejsce było piérwszą nagrodą za poniesione trudy. Nadeszła chwila zachodu słońca, a o téj chwili pozłaca słońce wieczornym całunem zlodowaciałe czoła, odwiecznie w téj stronie panujących matek alpejskich i o téj chwili usypia się cała natura, z tą niewinną niechęcią, z tą na wpół zmrużoną powieką, z tym lubym niepokojem szczęśliwéj dziéwicy, marzącéj o oddalającym się kochanku, który ją jutro z jutrzenką powita.— Tak ziemia marzyła o słońcu. Przy chatach zastaliśmy znajome nam liczne towarzystwo dam i mężczyzn, którzy na godzinę przed nami przybyli.—Grzeczne ale krótkie było przywitanie nasze, bo rzecz to dziwna, kiedy się zdaje, że towarzystwo domiarem szczęścia tu być musi, że trafna uwaga przyjaciół urok piękności podnieci, że skromny rumieniec, ten plotka wewnętrznéj burzy dziéwiczéj, żarem krew w żyłach młodziana rozdmucha; to wcale przeciwnie, serce za innym żywiołem tu tęskni, i po raz piérwszy nie lubi świadków samodzielnych uczuć, i po raz piérwszy pragnie być samotném. I czemuż się tak dzieje, wszak łatwo odgadnąć.— Natura jest tu naszą kochanką! Ona tu wieńcem splotła wszystkie wdzięki i niémi wszystkie zabrała uczucia, i igra z sercem, jak motyl z kwiatami!—Stanąłem nad niezgłębioną przepaścią*) i śmiałém ją zmierzyłem okiem, ale wkrótce zgubiłem się w myślach, bo błyskawicą poczęły na przemian pędzić po przed oczy moje, wiara, nadzieja, miłość, poświęcenie, pokora: waleczność, przeszłość, przyszłość i wieczność. Wlepiłem wzrok w żegnające mnie słońce, oko moje i razu nie mrugnęło powieką, bo zawsze kogoś za niebem szukało. Już na dolinach zmrok ciemną zasłoną przykrywał oczęta ptaszyny, i zatulał kielich wonnych kwieci, i Ignął cieniem po falach jeziora, już było cicho jak przed sądem Boga, i tylko kiedyś niekiedyś zatrząsł powietrzem dzwónek powracającéj bez pastérza trzody i wołał na pacierze pańskie; już nad głową moją promienie nieba gasnęły i jakby żal im było rozstać się z górami, kryły się płocho po skalistych szczelinach i po kotlinach śnieżnych zamieci**), już ostatni promyk z nieba się usuwał, już niespokojne jeziora, krwawe gór czoła obmyły, już noc zwycięztwo odniosła, już wiele chwil ciemnéj upłynęło nocy, a jeszcze zdało mi się, jakobym to samo słońce, te same góry, jeziora, doliny podziwiał, i tego samego Boga w wieczorną przeobrażonego świętość wielbił.

Z tém to uczuciem powróciłem do skromnéj naszéj chyży, i z tém uczuciem przywitałem towarzyszy moich. Wesoło leciały chwile, bo kto tu przybył, ten przepomniał troskę mieszkającą w dolinach i wytwornych murach. Na dębowym stole czekał nas posiłek. Pośród wymysłów miejskich smakoszy, kłębił swą parę mieszkaniec alpejski, bo smug***) znany tu w alpejskiéj gospodzie, umié go pięknie przykrasić alpejska dziewica i piosnkę ładną o nim zanucić.

* * *

*) Służą tu podróżnym bardzo wygodne, jedno-konne zaprzęgi.

**) Zwykle nocuje się na owczéj górze, a tak korzysta się z zachodu i wschodu słońca. Że zaś w skromnéj alpejskiéj chacie oprócz nabiału nic nie dostanie, dla tego wypada w wiktuały się zaopatrzyć.

***) Są to drewniane nizkie chaty, w środku izba z przypieckiem, na boku komora na nabiał, a naprzeciw wchodu stajnia na trzodę. Mieszkańcy nazywają te chaty *Almen- (oder Sennenhütten)*, co po prostu nasze szałaszyska oznacza.

*) Lud tutejszy pokazuje na zachodniéj stronie góry urwisko pionowe do 2,000 stóp wysokiéj skały i opowiada, jako zły duch rozgniewany, że go piérwsza po północy zaskoczyła, zębem o tę skałę zawadził i na dwoje rozdarł, przeto urwisko to diablim kęsem *Teufelsabbiss* nazwane.

**) Kotlinami śnieżnych zamieci, nazywam doły wywiane wichrem w odwiecznych alpejskich śniegach.

***) Smug jestto nasza prażucha, tylko bardzo tłusto przyrządzona i przetrawioną bryndzą posypana.

Nazajutrz 19go lipca byłato druga z północy, zaledwie brzask po mglistém rozsiał się powietrzu, a już przetarliśmy oczy i byli na nogach. Hop! hop! odezwał się głos w średniéj chyży, hop! hop! wrzasnąłem co gardła*) i w czwał pobiegłem za głosem. W tém samém przyjacielskiém gronie, przy tym samym dębowym stole, zasiedliśmy do śniadania, poczém nie bawiąc, daléj na górę, daléj na wierzchołek owczy. Byłoto świtanie mgliste, wędrówka po ślizkich i ostrych kamieniach przykra, przymrozek lipcowy dokuczliwy, a więc mało powabów do przebycia cierniowej drogi dla niepewnéj przyszłości, po któréj sobie przewodnicy nasi nie wiele obiecywali. Takie okoliczności zachwiały ducha niektórych z naszych towarzyszy, i ci powrócili do szałaszysk, aby tam na nas czekać. Liczba wytrwałych znacznie zeszczuplała, ale za to wesoła, ochocza; głosy nasze rozlégały się w śpiewach po wszystkich skałach, i często śród śpiewów, zabrzmiał krakowiaczek.

Przebrani w róże alpejskie (*Rhododendron alpinum*) doszliśmy do szczytu, ale i tu nas wiatr zimuy powitał, i błogo nam było zagrzać się przy ognisku.—Już czwarta dochodziła, po czwartéj miało zejść słońce, a jeszcze od wschodu siwe przeciągały chmury, i już się mi ckno robiło, kiedy najstarszy przewodnik zawołał: »Hej panowie! szczęśliwi jesteście, oto nasz szaleniec przyszedł do rozumu.«**) I jakby z wyroczni Boga zleciały chmury w doliny i bałwanami toczyły się po pod nogi nasze, a błękit różowémi zaścielony kwiaty, przytulał do łona swojego swawolne promyki niebieskiego gońca, i wkładając je w złociste półkole, poranną zaiskrzył się zorzą. Dołem pod nami skropniły się chmury, rosa spiącemu życiu oczy przemyła i świat się życiem wypełnił, i coraz jaśniéj i jaśniéj— lecz któryż język przeleje to w słowa, kiedy ojczysty zamilkł! kto wszystkość tego poranka myślą obejmie! Bo zbiérz w jeden obraz posępną dzicz wiecznym śniegiem i odwiecznym lodem pokrytych gór tyrolskich, a dzicz tak wielką, że ludzkie w niéj nigdy nie zamieszka życie, że nawet sokół w jéj strony nie zaleci, i tylko czasami spłoszona koza, zwiędniałą trawkę z pod śniegu dobędzie; dzicz śnieżnéj pustyni, gdzie straszna burza wieczną pieśnią wyje, i jéj oddechem wszystko życie niszczy—zbierz w ten sam obraz sędziwą dumę, odwiecznym czasem spalonych, rozliczną wieków wyobraźnią w rozliczne kształty wykutych, nagich i pustych skał wapienia salcburgskiego; przydaj do tego wiek męzki zielonych gór bawarskich, połącz wdzięki rosą odświeżonéj, w lipcowe wieńce ubranéj dziewiczéj niwy, kąpiącéj się w modrych jeziorach; zbierz w ten sam obraz wiosnę, lato, jesień i zimę, i w jednéj chwili jednym rzutem oka połącz je ze sobą, i wszystko oświéć różowém światłem jutrzenki, i wszystko przeniknij łagodnie czérstwym promieniem wschodzącego słońca; a będziesz miał obraz tego zarania, obraz widziany ze szczytu najpiękniejszéj góry! I oprzesz się o skałę, i jakto lubisz, na wszystko z rozkoszą spoglądać będziesz! Dziwnie w twém sercu zakipi krew twoja, i dziwnie po żyłach rozleje się twoich, i zechcesz być wieszczem i łzę rozczuleń twoim słuchaczom wywołać, kiedy się łza w twoje oczy wciśnie, i głos twój wieszczy w twojéj piersi skona.

*) Zdarzenie prawdziwe, albowiem w poblizkiéj chacie pewien Warszawianin nocował.

**) Przewodnicy uważają w mglistych zarankach, na górę w pasmie gór tyrolskich, nazwaną *hoher Narr*, która gdy się z mgły oczyści, to niezawodną pogodę rokuje. W pasmie gór w ogólności *Tauern* zwanych, widać z góry owczéj między innémi: *Blienbacher und Uibergossene Alpe*, *Nassfelder und Malnitzer Tauern*, *Herzog Ernst*, *Hoher Narr*, *Dachstein* i *Grossglockner*.

Pobyt na owczéj górze, był może najuroczystszą chwilą mojego życia, był pierwszą a może i ostatnią chwilą, w któréj przeszło dwadzieścia osób jedném życiem żyjących, jedną myślą myślących, jedném uczuciem gorejących i jedną modlitwą wielbiących Boga, widziałem!

Nie ma więc dziwu, że tak chętnie o niéj marzę, że tak długo o niéj prawię, i przebaczysz czytelniku, jeżlim znudził oczy twoje, a twego serca nie poruszył, bo kto marzy, marzy sobie, prawi drugim, a sam czuje.

F. X. Abancourt.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 15. i obejmuje: 1) Nieco o gipsowaniu koniczyny. 2) Nowy siewnik. 3) O sadzeniu drzew. 4) O używaniu słodu gniecionego do zacierów gorzelnianych. 5) O różnych sposobach wytapiania rudy. (Ciąg dalszy). 6) Wiadomości czasowe.

Król pruski do Spontiniego. Ministeryjalny list do Spontyniego brzmi jak następuje: »Co się tyczy przyszłych stosunków wpana do tutejszego królewskiego teatru, JKMość podług dalszéj wyraźnéj i dosłownéj treści załączonego tutaj najwyższego rozporządzenia z dnia 25. sierpnia r. b. raczył wpana uwolnić od wszelkich powinności, do których wpan kontraktem z r. 1821 i 1831 obowiązany byłeś, a przeto rozwiązał wszystko, co wpana dotychczas z jeneralną intendanturą wiązało. Tytuł i taż sama płaca, jaką dotychczas podług kontraktu pobiérałeś, mają dla wpana i nadal pozostać. Cały swój wolny czas możesz wpan teraz poświęcić nowym utworom muzycznym, a J. K. Mość jest przekonany, że swoboda umysłu wywrze zbawienny wpływ na jego dzieła, zwłaszcza, iż odtąd ustaną wszelkie niesnaski, które zburzając namiętności, pozbawiały wpana umysł téj swobody, jaka do utworzenia jenijalnych dzieł koniecznie jest potrzebną.— Nowe kompozycyje wpana będą dla JKMości bardzo przyjemne, i rozumie się samo przez się, że wpan tym utworom masz prawo przewodzić w orkiestrze. Jeżelibyś wpan życzył sobie i w operach innych kompozytorów tegoż samego używać prawa, masz wpan w tym względzie porozumieć się z jeneralnym intendantem. W Berlinie dnia 8go października 1841.«

Podpis. *Wittgenstein. Stollberg.*

Pewien głęboki i doświadczony statystyk, obliczył śmiertelność w literaturze: Z tysiąca wydrukowanych książek, 600 nie przynosi tyle zysku, aby opędzić koszta druku, przy 200 zyskuje nakładnik tylko tyle, że opędzi wydatki, a tylko na ostatnich 200 ma jaki taki zarobek. Z tychże tysiąca książek idzie po upływie roku 650 a po trzech latach 150 w zapomnienie; tylko 50 żyje do siedmiu lat, a po upływie lat dwudziestu, ledwie o dziesięciu jeszcze jest wzmianka. Z 50,000 pism, które w siedmnastym wieku wyszły z druku, liczą zaledwie 50, które wielką sobie zjednały sławę, i po-dziś dzień jeszcze nakładane bywają. Z 80,000 książek wieku ośmnastego, pomimo téj znacznie większéj liczby, nie zachowała potomność więcéj, jak z wieku poprzedniego. Już od trzech tysięcy lat piszą autorowie książki, a na całéj kuli ziemskiéj nié masz jak 500 autorów, których strumień czasu nie zabrał z sobą w zapomnienie!

Śmierć pana Levasseur. Dnia 21go marca zeszedł z tego świata w 75tym wieku swego życia pan Jacques Levasseur, baron z czasów cesarstwa, kawaler orderu legii honorowéj, i najznakomitszy mąż w zawodzie przemysłowym we Francyi. W dzień jego śmierci trzydzieści należących do niego okrętów znajdowało się na wysokości morza; a wiele innych statków ustawiwszy się w krzyż i pospuszczawszy bandery, opłakiwało w następnym dniu zgon swego właściciela. Był on także założycielem wielu fabryk i przedsiębierstw przemysłowych, a majątek jego wynosić ma 12 milijonow franków.

Lamartine. E. Briffault w swoich *historiettes contemporaines* nadmienia, że pan Lamartine jest wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, ale chudy; w postawie jego jest coś odznaczającego się; porównywano go z Byronem, jakoż widać w nim ze wszech miar podobną szlachetność, chociaż mniéj poetycznéj jenijalności. Twarz jego jest podługowata, regularna i przyjemna; ale nie widać w niéj dobroci serca, owszém w całéj fizojognomii, przebija się samolubstwo i duma. Zachowanie się jego jest na sposób angielski arystokratyczne, wymuszone. Lamartine w ubiorze i chodzie swoim zakrawa na modnisia, jednakże bez przesady, owszem może z udaną skromnością. Giesta, postawa równie jak i słowa jego tracą wiele z swojego wdzięku na mownicy. Lubi on przepych i okazałość, słowem ma wszystkie skłonności bogacza. Jak dalece jest samolubem, dowodzi najdokładniéj następujący wypadek, za który zaręczyć można. Raz zalecono mu młodego utalentowanego człowieka. Lamartine ujrzawszy go w swym domu, oświadczył stanowczo, że nic dla niego uczynić nie może, pomimo że go najusilniej o to proszono. »To jest zimny człowiek«, odrzekł, »widziałem jak stał naprzeciw mnie i wcale się nie zmieszał.«

Zégar udoskonalony. Rabiel w Chalons otrzymał przywilej swobody na zégar, który wciąż idzie, a nigdy się nie nakręca, gdyż narząd bijący nakręca drugi narząd, który skazówki posuwa. Mechanizm jest równie prosty jak sztuczny, a co najważniejsza, że podług tego nowego wynalazku zrobione zégary, które niezadługo w handel wejdą, mają być nierównie tańsze niż zwyczajne.

Pewien Anglik zrobił wynalazek, który mularzom a przynajmniej kamieniarzom odbierze sposób do życia. Wydobyte z łomu kamienie wkładają się w machinę i wychodzą z niéj tak gładko ociosane, że ich żadna ludzka ręka doskonaléj obrobić nie zdoła. Z doświadczenia okazało się, iż będąc przez sześć godzin w ruchu, zastąpiła dzienną robotę 250 ludzi. Kosztuje około 3,000 talarów.

Na Wschodzie mierzą ludzie czas podług długości swego cienia. Jeźli kogo zapytasz, która jest godzina, zaraz idzie na słońce, staje prosto, wytyka miejsce, gdzie się jego cień kończy, i zmierzywszy krokiem długość jego, dość dokładnie oznacza godzinę. Dla tego téż ludzie pracujący i wyrobnicy z tęsknotą wzdychają do cienia wskazującego godzinę, w której się ich dzienna praca kończy. Z tąd téż człowiek pracą strudzony często tam używa tego wyrażenia: »Ach, czemuż mój cień nie przybywa!« A wsiódméj księdze Hioba znajdujemy następujące miejsce: »Podobnie jak on wyrobnik, który z tęsknotą za swoim cieniem wzdycha.«

Dachy papiérowe. W Szwecyi i Norwegii już od lat czterdziestu do nakrywania domów używają powszechnie dachów papiérowych. Szwedzki rząd rozporządzeniem z dnia 13go maja 1834 uznał, że dachy te nie podlegają niebezpieczeństwu spalenia się, a w skutek tego nietylko że pozwolił zaprowadzić je w mieście Karlskronie, ale nawet kazał takimże samym dachem pokryć wszystkie znajdujące się tamże magazyny królewskie. — Podobnież w Finlandyi, a mianowicie w Helsingfors pokrywają teraz domy powiększéj części dachem papiérowym. Sposób ten pokrywania zaprowadzono niedawno także w mieście Rewal. Tamtejsza papiernia pana Donat, przysposobiła w ostatnich trzech latach i sprzedała 410,000 tafli papieru. Tym sposobem oszczędza się znacznie drzewo, a prócz tego dach takowy trwa nierównie dłużéj, niż dach z dranic lub gont.

Pies wybawcą. Z Ibraiłowa pod dniem 15. (3) lutego 1842 donoszą: »Jednego dnia gdy wielka kra zaczęła iść na Dunaju, jeden z kapitanów norwegskich, którego okręt przy drugim brzegu kanału stał na kotwicy, pomimo idącéj kry, puścił się w małéj barce na przeciwny brzeg rzeki, i odbył tę nadzwyczaj niebezpieczną żeglugę bez wszelkiego przypadku. Ale gdy kapitan wysiadł na ląd, musiała barka powrócić do okrętu. Lecz skoro odbyła trzecią część drogi, już kra tak w około barkę otoczyła, że ani wprzód ani w tył płynąć nie mogła. Tym sposobem sześć osób znajdujących się w barce, ujrzało się wystawionych na oczéwistą zgubę. Grecki sternik będący na okręcie, który już także kra otaczać zaczęła, przedsięwziął przedrzéć się do nich po lodzie; lecz skoro wysiadł z okrętu i kilka kroków postąpił, załamał sie pod nim lód, a ten nieszczęśliwy znalazł grób w odmętach wzburzonego żywiołu. — Na widok tego wypadku jeszcze większa trwoga ogarnęła znajdujących się w barce. Z brzegu i okrętów nie można było posłać żadnéj pomocy, gdyż nikt nie śmiał podać się na widoczne niebezpieczeństwo. Lecz w téj powszechnéj trwodze będący na pokładzie statku norwegskiego drugi kapitan, przypomniał sobie, że ma bardzo wprawnego pudla. Bierze więc koniec długiéj liny, wkłada mu w pysk i każe płynąć do barki. Wierny pudel po wielkim trudzie przebija się szczęśliwie pomiędzy bryły kry, i przypływa z końcem liny do barki. Można sobie wyobrazić, z jaką radością przyjęto tego wybawcę! Tu przywiązują linę do barki, a osada okrętu przyciąga ją po lodzie aż do samego lądu. Tym sposobem wybawił pudel sześciu ludzi z widocznego niebezpieczeństwa.«

Łakotnisie. Książę Talleyrand poszedł raz o zakład z panem Saint-Foix i wygrał. Podług umówionych warunków, ten co przegra, obowiązany był swoim kosztem dla dwunastu osób dać śniadanie z samych ostryg złożone. Temu, co wygra, wolno było wybrać gości. Nie należy sądzić, że książę Talleyrand wybrał gości z wielkiego świata. I owszém; kazał on w całym Paryżu powyszukiwać największych żarłoków na ostrygi, i przyszedł razem z nimi na ucztę do pana Saint-Foix. Ten nie wiedział bynajmniéj o zamierzonéj psocie i patrzał tylko z zadziwieniem, jak szybko wypróżniały się półmiski. Każdy z zaproszonych zjadł ich pięćset, a niejeden i sześćset; jednakże wszystkich przeszedł niejaki pan Cloiseau, który aż wtenczas położył widelec, gdy 740 ostryg szczęśliwie połknął.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.